# Wizjoner w sandałach z opony

Paulina Wilk 16-01-2009, ostatnia aktualizacja 17-01-2009 08:25

W Madżi Moto stoi szkoła zbudowana przez Polaków. Właśnie weszli do niej pierwsi uczniowie. Zaczynają od zerówki. Ale wódz Salaton obiecuje, że wykształci tu pierwszego masajskiego prezydenta Kenii.



autor zdjęcia: Paulina Wilk
źródło: Fotorzepa
Piotr i Andrzej na budowie szkoły



autor zdjęcia: Paulina Wilk
źródło: Fotorzepa
Salaton, masajski wódz, odebrał od Marty Miłkowskiej dwa budynki, globus i uszytą naprędce polską flagę

Niełatwo tam dojechać. Tak się tylko wydaje, że 60 kilometrów to blisko. Jak się ma dobry samochód i jest bezdeszczowa pogoda, droga z Narok – ostatniego miejskiego przyczółka przed ogromem i pustką Masaj Mary – zajmie półtorej godziny. Anka pokonała tę trasę setki razy, od trzech miesięcy robi za logistyka. – A to trzeba cement dowieźć, a to deski. Dogadać dobrą cenę. Na budowie zawsze czegoś brakuje.

Na takim załatwianiu się zna, co roku nadzoruje stawianie i rozbieranie części miasteczka festiwalu Open'er. Właśnie na festiwalu poznała dziewczynę z polsko-kenijskiej fundacji Simba Friends i dowiedziała się o budowie szkoły. Zawsze chciała pojechać do Afryki. W Madżi Moto jest właściwie na wakacjach. Ma tu pięknie urządzoną lepiankę, ulubionego psa i własną kozę. Spędza dni za kierownicą, jeździ przez busz jak po własnym podwórku: z papierosem w jednej, a kawą w drugiej ręce.

Ale dzisiaj terenowa toyota, czule nazywana przez polskich wolontariuszy simbusem, poddała się. Od dawna ma tylko jedno sprawne światło, tym razem chodzi o silnik. Akurat na pięć dni przed zakończeniem budowy trzeba było ją zostawić w Narok u mechanika. Steven, właściciel białego suzuki z napędem na cztery koła, proponuje, że zawiezie nas do wioski. Za

1500 kenijskich szylingów, czyli 60 złotych. Steven jest, jak większość posiadaczy samochodów w miasteczku, jakby taksówkarzem. Jakby, bo ani nie zawiesił na dachu tabliczki z napisem taxi, ani nie lał benzyny bez potrzeby. Tankuje dopiero teraz, przy drodze wylotowej.

Zresztą droga jest tylko jedna, a Narok przypomina osady z westernów – po obu stronach same sklepy i hotele. Przyjeżdża się tu na chwilę, żeby się przesiąść, zjeść, zatankować. Na dworcu autobusowym mężczyźni wiążą na dachach pakunki. Inni siedzą już w środku, czekają, aż zbierze się komplet i będzie można ruszać. Sprzedawcy proponują orzeszki i duże czerwone śliwki, które – przerobione na dżem i wepchnięte do litrowej puszki – są stałym elementem śniadaniowego jadłospisu w polskim obozie. Dopiero kiedy kończy się dżem śliwkowy, cieszą się wielbiciele pomarańczowego.

Mimo duchoty taksówkarz Steven włożył – jak uniform – przeciwdeszczową kurtkę. Drogę zna na pamięć. Omija wyrwy w poszarpanym asfalcie, hamuje tuż przed rozstawionymi przez policję pordzewiałymi kolcami. Jedziemy donikąd, tak to wygląda – coraz głębiej i głębiej w pustkę. Widoki całkiem inne niż w „National Geographic": kolory blade, krzewy i kaktusy ani piękne, ani szczególnie okazałe. Ale sama przestrzeń magnetyzuje – aż się chce biec do przodu. Żeby zobaczyć, co jest tam dalej, bo przecież coś być musi.

# Tu nie zrobiłem nic złego

Nagle wszystkie szyby się podnoszą, skręcamy w półpustynną drogę. Ukrop w wozie trudno wytrzymać, ale lepsze to niż kłęby kurzu, które go teraz otaczają. Niewiele widać, pędzimy wprost na sporą górę wyrastającą ostro z równiny. Majaczą pod nią jakieś zabudowania, jest – zdaje się – kilka murowanych domów. Samochód przetacza się przez wertepy, dziury i głębokie na pół metra koleiny. Mijamy zebry, gnu, kilka potężnych strusi. Raz po raz uderzają w nas niewielkie trąby powietrzne: zasłaniają wszystko, niosąc wirujący pył.

Ten pył zastępuje tu ziemię. – A kiedy pada deszcz, zmienia się w kleistą maź. Nigdzie nie da się dojechać – krzywi się z obrzydzeniem Andrzej. Utknął kiedyś nocą w ciężarówce 7 kilometrów od wsi. Z odsieczą ruszyła simbusem szefowa projektu Marta i czterech mężczyzn. Ona siedziała za kółkiem, a oni dosłownie przenosili samochód nad kałużami. Kilometr od ciężarówki droga była już całkiem zalana, więc ruszyli pieszo i śpiewali głośno, żeby odstraszyć zwierzęta. A Andrzej nie mógł wyskoczyć z szoferki, bo towarzyszący mu Masajowie nie chcieli go wypuścić. – Tak się bali słoni. Uważają, że to najniebezpieczniejsze zwierzęta. I coś w tym jest. Niedawno tu, niedaleko, słoń zabił człowieka.

Tamtej nocy Andrzej wydostał się z ciężarówki, ale to nie znaczy, że strach go nie dotyczy. – W więzieniu lubiłem oglądać filmy przyrodnicze. I wydawało mi się, że wiem coś o zwierzętach, rozumiesz? – sam z siebie się śmieje. – Tu nauczyłem się, że dziki kot zwykle schodzi człowiekowi z drogi. Słoń nie boi się niczego, a bawół atakuje bez powodu, dla samej przyjemności.

Mówiąc to, zadeptuje pająka. Ponoć niebezpiecznego: – Jak ukąsi, noga puchnie i nie da się chodzić.

Kiedy kilka dni później, w słoneczne przedpołudnie, zobaczyliśmy w obozie półtorametrowego węża, Andrzej zaraz cisnął w niego kamieniem, a potem szybko sięgnął po

sprężynowy nóż. Nosi go w pochwie na pasku. Jeśli przy stole brakuje sztućców, rozsmarowuje nim masło na chlebie. Tym razem spudłował, gad zniknął w trawie.

– Ludzi się nie boję, ale dzikich zwierząt tak. A węży nienawidzę. Wojownicy mówią, że to jedyne stworzenia, z którymi nie można się porozumieć. Dziękują i gratulują każdemu, kto węża zabije.

Oprócz noża ma jeszcze miecz i dwa łuki. Dostał je od Masajów, nadali mu też plemienne imię. Zaprzyjaźnił się z Senkale, bratem wodza. Andrzej słabo na angielski, ale się rozumieją. Senkale, były sudański najemnik, polubił polskiego recydywistę. Na budowie to Andrzej pracuje najciężej. Teraz przypomina Masaja – wychudł, skórę ma przepaloną słońcem, jego ciało to kości i mięśnie – nie efektownie wyrzeźbione, raczej wzmocnione robotą, stwardniałe.

Wcześniej był w Sega w zachodniej Kenii. Po latach spędzonych w grupie przestępczej i dekadzie w polskim więzieniu trafił tam, żeby zbudować posterunek policji. Miesiąc przed końcem wyroku przyszedł do niego szef fundacji Sławek pomagającej byłym więźniom. – Dowiedziałem się, że mogę wyjechać do Afryki. Od razu się zgodziłem – mówi, jakby ciągle miał katar. To przez nos, kilkanaście razy złamany. Już po pierwszym wyroku próbował żyć inaczej. – Ale się nie udało. Myślę, że to moje poprzednie życie było pełne strachu. Bałem się odrzucenia, więc się podporządkowałem. A tutaj – to jedyne miejsce na ziemi, gdzie nikomu nie zrobiłem nic złego i nikt przeze mnie nie płakał.

Z Madżi Moto pojedzie prosto do Sudanu. Już nie jako wolontariusz, ale pracownik firmy, która podpisała kontrakt na biurowiec ze szklanym dachem. – Skończyłem zawodówkę budowlaną. Ekspertem nie jestem, ale pojęcie mam. Jak zobaczyłem tu fundamenty, to się złapałem za głowę. Takie doły wykopali, jakby drapacz chmur miał powstać, a nie szkoła! I zbrojenia źle robili, mógłby się sufit zawalić. Więc się przydałem.

# Elita w buszu

Andrzej i reszta byli jeszcze na budowie, kiedy suzuki Stevena zajechało do obozu. Trzy lepianki z krowiego łajna, palenisko, dwa namioty. Na powitanie wyszła do nas tylko Marta, osłabiona, blada – leczyła amebę. Zdziwiłam się: taka młodziutka, filigranowa dziewczyna – co tu robi, na końcu świata? Ale potem ktoś mi wyjaśnił: – One zawsze takie. Jeszcze na studiach, natchnione, pełne zapału. Spotkasz je we wszystkich wolontariatach, nie tylko w Afryce.

Wiedza jest jak życiodajna krowa, tylko lepsza, bo nieśmiertelna - mówi wódz Salaton, który sam nie umie czytać ani pisać, ale chce zapewnić swoim ludziom edukację

Od Marty się zaczęło. Podróżowała po Kenii, chciała zobaczyć, jak ten świat, który poznawała z książek na afrykanistyce, wygląda naprawdę. Utknęła w Narok. Siedziała w taniej restauracji, która teraz służy wolontariuszom za biuro: tu się ładuje laptopy, pisze raporty, dziennik budowy i sprawozdania finansowe. Dla polskiego MSZ i warszawskiej fundacji Simba Friends – łącznie dali na szkołę około 450 tysięcy złotych.

Masajski wódz Salaton przysiadł się do stolika Marty, zaprosił do wioski, zapewnił dach nad głową i jedzenie. Pokazał życie w Madżi Moto. – Była tak zapalona do pomysłu zbudowania tam szkoły, że dałem się przekonać – mówi James Ofwona, szef Simba Friends, który od lat

mieszka w Polsce. Chce stworzyć w Kenii Dolinę Krzemową – jego fundacja m.in. wprowadza Internet do odciętych od świata wiosek. – Napisała projekt, wysłaliśmy go do MSZ i dostaliśmy pieniądze. Potem poszło błyskawicznie.

W sierpniu 2008 r. wbito pierwszą łopatę. W Madżi Moto pracowało łącznie kilkunastu Polaków. Zatrudnili lokalną firmę budowlaną, nadzorowali zamówienia, rachunki. 17 grudnia wśród oklasków wódz odebrał od Marty dwa budynki, globus i uszytą naprędce polską flagę. Oprócz szkoły jest też internat zbudowany z myślą o uczennicach. Muszą mieszkać na miejscu, bo rodzice prędzej niż na lekcje wysłaliby je za mąż, w zamian za krowy. Wystrojone w mundurki i ustawione w równym rządku, zaśpiewały podziękowanie dla Polaków.

Szkoła powstała na ziemi zakupionej przez wodza. Salaton nie wie, ile ma lat. Na oko – 40. Nie umie czytać ani pisać, nie potrafiłby odróżnić, czy zawiera umowę sprzedaży ziemi na 20 akrów czy na 200. Mimo to nie przypomina wodza z filmowej wersji „Pożegnania z Afryką". Tamten bał się edukacji, wyrżnął na palu kreskę i oznajmił baronowej Blixen, że do jej szkoły mogą chodzić tylko dzieci niższe niż ten znak. Salaton przeciwnie – boi się, że brak wykształcenia zniszczy jego ludzi. Masajowie stanowią wizytówkę Afryki, jedną z jej największych atrakcji, ale w całym rezerwacie Masaj Mara hotele i agencje turystyczne prowadzą inne plemiona. Bo który Masaj ma pojęcie o biznesie, rachunkach?

Dlatego wódz nie chce zwykłej podstawówki, ale specjalnego programu nauczania, dodatkowych kursów dla dorosłych i wojowników. Jest przeciwnikiem wyrzezania dziewczynek, wizjonerem: marzy o masajskiej elicie, która pielęgnuje własną kulturę z wyboru, z miłości do tradycji. Widzi, co się dzieje z jego współplemieńcami, którzy uciekają do miast: – Tam nic nie znaczą. Szybko się staczają. Biorą narkotyki, piją, wykorzystują niewinne dziewczyny – mówi, patrząc na swoje sandały zrobione z samochodowej opony. – Chcemy, żeby się uczyli i zostawali tu, w buszu.

Analfabetyzm nie przeszkodził mu w opanowaniu efektownej angielszczyzny. Co rusz serwuje chwytliwe metafory: – My, Masajowie, potrzebujemy i naszej kultury, i nowoczesnej edukacji. W jednej ręce musimy mieć włócznię, w drugiej – książkę. Wiedza jest jak życiodajna krowa, tylko lepsza, bo nieśmiertelna.

Masajowie wierzą, że są ludem szczególnym, zesłanym na ziemię razem z bydłem przez boga Enkai. W Madżi Moto bez przerwy słychać dzwonki – kołyszą się na szyjach krów wędrujących do jedynego w promieniu kilkudziesięciu kilometrów źródła wody. Nad zbiornikiem zdarzają się nawet korki, jedno stado czeka, gdy drugie pije. To centrum życia i fenomen: nazwa wsi znaczy „gorąca woda", wzięła się od bijącego tu gorącego źródła. Wszędzie wokół sucho, a tu prosty system irygacyjny zazielenił kilka pól. Tylko tu są drzewa i polskie bociany.

# W nocy świat się kurczy

Po całym dniu roboty na budowie liczą się dwie sprawy: kolacja i kąpiel. Za kolację podawaną w „kuchni", czyli na polance 50 metrów od obozu, odpowiada Simat. Cichy Masaj, którego Polacy początkowo brali za niemowę i do dziś nie mogą się nadziwić, że dawniej zarabiał, nawołując pasażerów do minibusów.

Je się wspólnie. Andrzej zasuwa wejście namiotu, do którego przeprowadził się po ataku termitów. Marta i Anka wychodzą ze swoich lepianek, drzwi tylko przymykają, żeby nie wlatywały komary. Kłódki zostają otwarte. Naprawdę cenna jest tylko latarka czołówka – obiekt westchnień wszystkich okolicznych dzieci.

Do stołu siada też Leszek, inżynier jeszcze bez pełnego dyplomu, Dorota i Piotr – małżeństwo z tytułami leśników i filozofów przyrody. Są tu najstarsi, przyjechali na prośbę szefa fundacji, pomagali już w nadzorowaniu innych projektów. Prócz doświadczenia mają cierpliwość i dowcip, w tych warunkach – ważniejsze nawet od fachowej wiedzy. – Biorąc pod uwagę ilość komplikacji, ukończenie tej budowy na czas to spory sukces – mówi Piotr, na chwilę rezygnując z ironii. – Od początku było trudno: niedobry projekt architektoniczny, problemy z transportem, płatnościami. To naprawdę mogło się nie udać.

Poważny ton ustępuje uśmiechowi, bo Piotr właśnie uniósł pokrywkę: – Są ziemniaczki!

Garnki zaczynają wędrować: słodka kapusta mija się z duszoną marchewką, smażona kozina kursuje między makaronem a herbatą. Andrzej siedzi na skraju stołu, zjada szybko, mówi mało, pali. Pozostali gadają. Dziewczyny podziwiają zielone modliszki, które zleciały się do stojącej na środku lampy naftowej. Są powody do zadowolenia: budowa zakończona, a jedzenia jest dziś więcej niż zwykle.

Kilka dni później na śniadanie dostaliśmy tylko chleb z dżemem. Simat miał kupić jajka, ale w okolicznych kurnikach pusto. Nie robił z tego sprawy, nic nie powiedział. – U nich to normalne – kwituje Dorota. – Jak jest jedzenie, to się je. Jak nie ma, to się nie je.

Kiedyś pytali Simata, jaką potrawę lubi najbardziej. Długo patrzył zdumiony, po czym powiedział: – Lubię mieć co zjeść.

W Madżi Moto głodu nie widać, ale w shopping center, czyli handlowym sercu okolicy, sklepikarz Ali zarabia coraz gorzej. – Ludzie kupują mniej. Wszystko zdrożało, a najbardziej mąka.

Sklep Alego to spora drewniana buda na murowanym fundamencie, obok podobny interes prowadzi jego siostra, 20 metrów na lewo sprzedaje też urodziwa Sally. Działa jeszcze rzeźnik i to u niego ruch jest największy.

Usadowione w cieniu rozłożystej akacji mamy, leciwe handlarki, patrzą z przychylnym zainteresowaniem. Nie zazdroszczą, mimo że same sprzedają niewiele. Przychodzą z daleka. Najpierw kładą na beżowej ziemi barwną kangę – kawał materiału. Na niej lądują kolejno: główki kapusty, woreczki z mąką, torebki herbaty i brązowego cukru. W małych butelkach lśni ropa i benzyna. Jest też formowany w ruloniki lokalny smalec i jaskraworóżowe mydło krojone w plastry. Wszystko w rozmiarze mini, zaaranżowane z wielką starannością i bezustannie udoskonalane. Mamy nie siedzą bezczynnie – przysuwają buteleczki bliżej siebie, wyrównują kapuściane rządki. Po co, dla kogo? Całymi godzinami nikt nic nie kupuje, nawet się do nich nie zbliża. A one trwają w gotowości, w półuśmiechu, bez odrobiny zniechęcenia czy zmęczenia. Bezruch znoszą godnie, jakby nie spodziewały się niczego innego. Siedzą tak do późnego popołudnia, po czym pakują się i odchodzą. Nie wszystkie zdążą do domu przed nocą, zmrok zapada błyskawicznie.

Dla Polaków noc to pora nagrody. Bierze się lampę naftową, ręcznik, mydło. I spacerem idzie do gorącego źródła. Jest taki zwyczaj, że za dnia kąpią się tam tylko Masajowie, nocą – mzungu, czyli biali, i goście. Krajobraz po zmroku jest kosmiczny. Jeśli księżyc świeci jasno, ziemia migocze srebrzyście, a drzewa i krzewy są czarne, jakby spłaszczone – przypominają tekturową scenografię ze szkolnych przedstawień. Niebo wisi niżej niż w Polsce, ugina się od gwiazd. A kiedy księżyc się chowa, nie widać nic poza małym polem oświetlonym latarką. Świat jest skurczony, ciemność napiera ze wszystkich stron. Trochę jak nasz zimowy mróz, każe się skulić, odbiera swobodę ruchu.

Ubrania lądują na gałęzi, bose stopy trzeba stawiać ostrożnie, bo miejscami woda się gotuje. Ale pomaga prosta hydraulika – wystarczy przepchnąć trochę żwiru i zamknąć dopływ wrzątku. Nie jest głęboko, w sam raz, żeby się położyć jak w wannie. Kilka kamieni udaje zagłówki. Woda jest krystaliczna i czyni cuda – zabiera ze sobą całe zmęczenie, brud, nerwy. Nawet tęsknotę za domem i kanapkami z boczkiem. Masajowie wierzą, że woda z Madżi Moto zmywa winy i złą energię wysłaną nam za karę przez przodków. Rytuał każe obmyć trawą dłonie, stopy i twarz. I pozwolić mętnej wodzie płynąć dalej.

Wśród Polaków obowiązuje inna, niepisana etykieta: najpierw leży się w ciszy i bezruchu, dopiero po kilkunastu minutach słychać szorowanie głów. W drodze powrotnej mówi się niewiele, bo jest się nowym człowiekiem. Już odprężonym, ale jeszcze w zachwycie.

***

Ostatni polscy wolontariusze wyjechali z Madżi Moto kilka dni temu. Andrzej wyruszył do Sudanu, Dorota i Piotr wypoczywają na wyspie Lamu w północnej Kenii. Anka wróciła do pracy w agencji koncertowej: – Powoli nabieram polskiego tempa i próbuję sobie przypomnieć, co ja takiego ważnego tu robię. Marta i Leszek są w Polsce od końca grudnia, większość czasu spędzili w szpitalach. On leczy żółtaczkę, ona wciąż walczy z amebą. Do zimowej sesji na studiach nawet nie podchodziła. – Ale niczego nie żałuję i niczego bym nie zmieniła – upiera się.

Rzeczpospolita